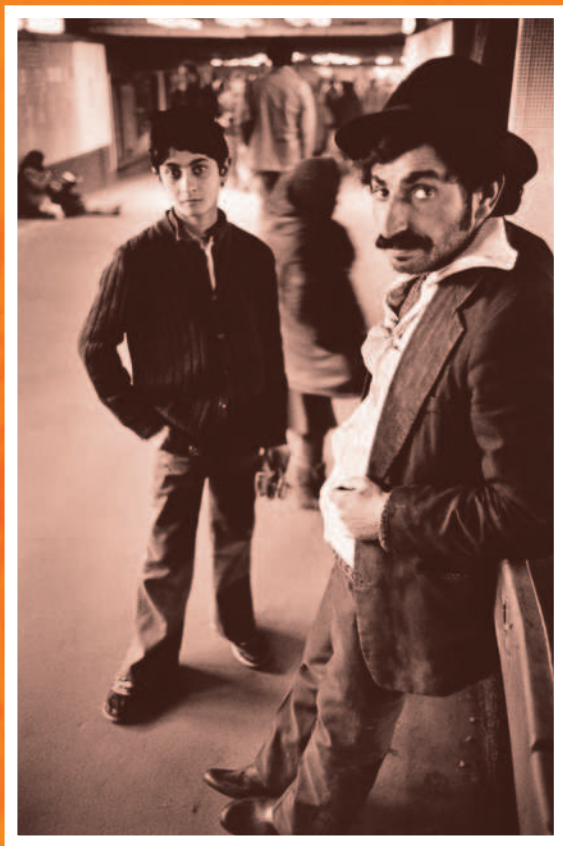


Andrzej Stasiuk



JADĄC DO
BABADAG

Andrzej Stasiuk
JADĄC DO
BABADAG

wydawnictwo  zarne

Wołowiec 2011

Projekt okładki i stron tytułowych KAMIL TARGOSZ

Zdjęcie na okładce i s. 5

© by WITOLD KRASSOWSKI / EK PICTURES

Zdjęcie André Kertésza na s. 207

© by MINISTÈRE DE LA CULTURE – FRANCE

Zdjęcie na IV stronie okładki

© by WOJCIECH PRAŻMOWSKI

Copyright © by ANDRZEJ STASIUK, 2004

Projekt typograficzny i skład ROBERT OLEŚ

Redakcja FILIP MODRZEJEWSKI, MONIKA SZNAJDERMAN

Korekta AGNIESZKA JURAK, JOANNA MŁODZIŃSKA

ISBN 978-83-7536-301-2

Cena: 20 zł



Dla M.

TEN LĘK

Tak, to tylko ten lęk, te poszukiwania, ślady, historie, które mają przesłonić nieosiągalną linię widnokągu. Znowu jest noc i wszystko oddala się, przepada, przykryte czarnym niebem. Jestem sam i muszę przypominać sobie zdarzenia, ponieważ dopada mnie strach przed nieskończonością. Dusza rozpuszcza się w przestrzeni jak kropla w otchłani morza, a ja jestem zbyt tchórzliwy, żeby w to uwierzyć, zbyt stary, by pogodzić się ze stratą, i wierzę, że tylko poprzez widzialne można zaznać ukojenia, że tylko w ciele świata moje ciało odnajdzie schronienie. Chciałbym być pochowany w tych wszystkich miejscach, gdzie byłem i jeszcze będę. Głowa wśród zielonych wzgórz Zemplén, serce gdzieś w Siedmiogrodzie, prawa dłoń w Czarnohorze, lewa w Białej Spiskiej, wzrok na Bukowinie, węch w Rășinari, myśli może gdzieś tutaj... Tak sobie to wyobrażam tej nocy, gdy w ciemności huczy potok i odwilż zmywa białe plamy śniegu. Przypominam sobie te dawne czasy, gdy tak wielu wyruszało w drogę, wymawiając nazwy dalekich miast, które brzmiały jak zaklęcia — Paryż, Londyn, Berlin, Nowy Jork, Sydney... Dla

mnie to były miejsca na mapie, czerwone albo czarne punkty zagubione wśród zielonych i błękitnych bezkresów. Nie potrafiłem pożądać czystych dźwięków. Historie, które się z nimi łączyły, były fikcją. Wypełniały czas i zabijały nudę. W tych dawnych czasach każda daleka podróż wyglądała na ucieczkę. Pachniała histerią i desperacją.

Któregoś dnia latem osiemdziesiątego trzeciego lub czwartego dojechałem stopem do Słubic i po drugiej stronie rzeki zobaczyłem Frankfurt. Było późne popołudnie. Nad wodą wisiało wilgotne niebieskoszare powietrze. Enerdowskie wieżowce i fabryczne kominy wyglądały ponuro i nierealnie. Bure słońce świeciło tak, jakby zaraz miało zgasnąć. Tamta strona była zupełnie martwa i nieruchoma, jakby dogasała po wielkim pożarze. Tylko zapach rzeki miał w sobie coś ludzkiego — zbutwiałość, rozkład, rybią mulistość — ale byłem pewien, że tam, po drugiej stronie, ta woń nagle się urywa. W każdym razie zawróciłem i jeszcze tego wieczoru na powrót wyszedłem na trasę, by ruszyć na wschód. Jak pies obwąchałem obcy rewir i poszedłem swoją drogą.

Oczywiście, nie miałem wtedy paszportu, ale nigdy też nie przychodziło mi do głowy, żeby się o niego postarać. Połączenie dwóch słów: „wolność” i „paszport”, brzmiało dość elegancko, ale kompletnie nieprzekonywająco. Konkret „paszportu” nie pasował do „wolności”, która wydawała się zaprzeczeniem konkretności. Niewykluczone, że w okolicach Gorzowa moje myśli układały się we frazę w rodzaju: wolność albo jest, albo jej nie ma, i tyle. Mój kraj zwyczajnie mi wystarczał, ponieważ nie

interesowały mnie jego granice. Żyłem w jego wnętrzu, w jego środku, a środek przemieszczał się wraz ze mną. Nie stawiałem przestrzeni żadnych wymagań i niczego od niej nie oczekiwałem. Wychodziłem przed świtem, by złapać żółto-niebieski pociąg do Żyrardowa. Ruszał ze Wschodniego, przejeżdżał Śródmieście, za oknami rozwijały się złote i srebrne wstążki świateł. Robiło się coraz ciaśniej. Mężczyźni mieli na sobie znoszone marynarki. Większość z nich wysiadała w Ursusie i szła w stronę lodowatego blasku fabryki. Dziesiątki, setki ciemnych postaci, ledwo widzialnych w mroku, i dopiero za bramą ogarniała ich rtęciowa światłość, jakby wchodzili do gigantycznego kościoła. Zostawałem prawie sam. Następni wsiadali gdzieś w Milanówku, w Grodzisku, ale wśród nich zjawiało się coraz więcej kobiet, bo Żyrardów to było włókiennictwo, tkalnie, szwalnie i co tam jeszcze. Czarny tytoń, plastikowy kwaśny zapach aktówek z kanapkami mieszały się z wonią tanich perfum i mydła. Noc odrywała się od ziemi i w rosnącej szczeliny dnia widać było chałupinki dróżników, na baczność prezentujących pomarańczowe chorągiewki, krowy stojące po brzuchy we mgle i ostatnie zapomniane światła w domach. Żyrardów był czerwony i ceglany. Wysiadałem ze wszystkimi. Byłem wałkoniem, ale to, co robiłem, stanowiło rodzaj hołdu dla wszystkich, którzy muszą wstawać przed świtem, ponieważ bez nich świat byłby tylko grą barw albo meteorologicznym dramatem. Piłem mocną herbatę w dworcowym barze i jechałem z powrotem, by za dzień, dwa wyruszyć na północ albo na wschód, pozornie bez celu. Któregoś lata jechałem

siedemdziesiąt dwie godziny bez przerwy. Rozmawiałem z kierowcami ciężarówek. Ich słowa brzmiały w kabinach jak gigantyczne powolne monologi, spływające gdzieś z przestworzy — tak działało zmęczenie i bezsensowność. Pejzaż za szybą to się przybliżał, to oddalał, by na koniec zastygnąć, znieruchomieć, jakby czas nareszcie dał za wygraną. Świt gdzieś w Pucku na poboczu drogi i rozciągnięte wąskie chmury nad Zatoką, spod których wyślizgiwało się jasne ostrze wstającego dnia i zimny zapach morza poprzetykany skrzekiem mew. Bardzo możliwe, że dotarłem wtedy na sam brzeg, bardzo możliwe, że po paru godzinach snu gdzieś obok drogi nadjechała furgonetka i facet powiedział, że jedzie przez cały kraj, na południe, i to było stokroć bardziej pociągające niż nuda przyplądów i odpływów, więc wskoczyłem na pakę i zawinięty w koc drzemałem pod łopoczącą plandeką, a w półśnie nawiedzały mnie minione pejzaże pomieszane z fantasmagoriami, jakbym oglądał rzeczy, które widzi ktoś obcy. Warszawa umknęła niczym obce miasto, a ja nie poczułem żadnego drgnienia w sercu. W zębach zgrzytał kurz unoszący się z desek podłogi. Przemierzałem kraj, tak jak przemierza się nieznany ląd. Terra incognita między Radomiem i Sandomierzem. Niebo, drzewa, domy, ziemia — to wszystko mogło znajdować się gdziekolwiek indziej. Poruszałem się w przestrzeni, która nie miała żadnej historii, żadnych dziejów, żadnych wartych wspomnienia dokonań. Byłem pierwszym człowiekiem gdzieś u stóp Gór Pieprzowych i wszystko zaczynało się od mojej obecności. Czas zaczynał płynąć, a rzeczy i krajobrazy zaczyna-

ły się starzeć dopiero w chwili, gdy dotykałem ich wzrokiem. Za Tarnobrzegiem zastukałem w blachę szoferki. Poraził mnie ogrom siarkowej odkrywki i musiałem wyśiąść. Gigantyczne koparki stały na dnie otchłani. Guzik mnie obchodziło, skąd się wzięły. Mogłem sobie wyobrazić, że spadły z nieba, by wgryźć się w ziemię, przebić ją, przekopać na drugą stronę, na antypody, z których przez olbrzymi szyb spłynę bezmiar wód i zatopi wszystko, a z tamtej strony zostanie pustynia. Smród piekieł unosił się nad okolicą, a ja nie mogłem oderwać wzroku od monstrualnej jamy, której martwota kazała myśleć o mogile, wysypisku ciał, o chłodnym infernie. Nic tam się nie poruszało. Mogła być niedziela, jeśli w takim miejscu w ogóle działał kalendarz.

No więc to w ogóle nie była Polska, ten ciąg obrazów, to nie był żaden kraj, to był pretekst. Bardzo możliwe, że człowiek odczuwa swoje istnienie dopiero wtedy, gdy czuje na skórze dotyk bezimiennej przestrzeni, która łączy nas z najdawniejszym czasem, ze wszystkimi umarłymi, z prehistorią, gdy umysł dopiero oddzielał się od świata i jeszcze nie zdawał sobie sprawy ze swojego sieroctwa. Wystawiało się dłoń z okna ciężarówki i między palcami przesuwano się najstarsze. Tak, to nie była Polska, to była pierwotna samotność. To mogło być Timbuktu albo Cape Cod. Z prawej Baranów, „perła renesansu”, mijałem go pewnie w tamtych czasach z dziesięć razy, lecz nigdy nie przyszło mi do głowy, by stanąć na chwilę i mu się przyjrzeć. Każde miejsce było dobre, ponieważ mogłem je opuścić bez żalu. Nie musiało nawet w ogóle się nazywać. Nieustanny wydatek,

nieustanna strata, rozrzutność, jakiej świat nie widział, karnawał, rozkurz, trwonienie i ani śladu akumulacji. Rano Wybrzeże, wieczorem lasy nad Sanem, faceci nad kuflami jak zjawy w wiejskiej knajpie, jak fantomy zastrygłe na mój widok w ćwierć gestu. Tak ich pamiętam, ale równie dobrze mogło się to wydarzyć koło Legnicy albo czterdzieści kilometrów na północny wschód od Siedlec rok wcześniej albo później w jakiejś wsi. Paliśmy ognisko, a z mroku wynurzały się wiejskie chłopaki i chyba pierwszy raz w życiu widzieli kogoś obcego. Nie byliśmy dla nich realni ani oni dla nas. Stali, patrzyli, w ciemnościach połyskiwały masywne klamry pasów z głową byka albo skrzyżowanymi coltami. W końcu siadali obok, ale rozmowa miała smak halucynacji i nawet wino, które przynieśli, nie sprowadziło nas na ziemię. O świcie wstali i odeszli. Niewykluczone, że dzień albo dwa później stałem dziesięć godzin w Złoczowie i nic mnie nie wzięło. Pamiętam żywo płot i kamienną balustradę mostku, chociaż tego pierwszego nie jestem pewien, żywo płot mógł być gdzieś indziej, tak jak większość rzeczy, które istnieją w pamięci, ponieważ je zapamiętałem, wyrwałem z krajobrazu, na zawsze składając z nich własną mapę, własną fantastyczną geografie.

A któregoś dnia jechałem do Poznania na odkrytej pacy staro. Kierowca krzyknął: „Wskakuj, tylko uważaj na ryby!”. Leżałem wśród ogromnych foliowych worków wypełnionych wodą. W środku pływały rybki nie większe niż paznokcie. Setki, tysiące rybek. Woda była lodowata i musiałem zawinąć się w koc. We Wrześni

ryby skręcały na Gniezno i zostałem sam o świcie na pustej szosie. Słońce jeszcze nie wzeszło i było zimno. Niewykluczone, że przez Poznań jechałem do Wrocławia. Prawdopodobnie po to, by za dzień, dwa wyruszyć na Wybrzeże albo w Bieszczady. W tym drugim wypadku gdzieś nad Osławą w środku lasu zobaczyłem nagiego mężczyznę. Stał w rzece i mył się. Na mój widok po prostu odwrócił się tyłem. A jeśli jednak Wybrzeże, to, zdaje się, Jastrzębia Góra i był wieczór, pusta plaża, siedłem boso w stronę Karwi i na tle czerwonego nieba widziałem czarne megality Stonehenge. Nie miałem gdzie spać i te ruiny spadły jak z nieba. Zrobione były z desek, dykty i grubego płótna. W tamtych czasach zdarzały się takie rzeczy. Ktoś je wybudował i zostawił, pewnie telewizja. Wczołgałem się przez dziurę do jednego z pionowych głazów i zasnąłem.

SŁOWACKA DWUSETKA

Najlepsza mapa, jaką posiadam, to słowacka dwusetka. Jest tak dokładna, że wydostałem się kiedyś za jej pomocą z bezkresnych kukurydzianych pól gdzieś u podnóża Gór Zemplén. Na wielkiej, obejmującej cały kraj płachcie zaznaczono nawet polne ścieżki. Jest podarta i postrzępiona. Miejscami przez płaski wizerunek ziemi i nielicznych tutaj wód przeziara nicość. Ale zawsze ją zabieram, chociaż jest nieporęczna i zajmuje dużo miejsca. Przypomina to trochę magię, bo przecież drogę do Koszyc i potem do Sátoraljaújhely znam właściwie na pamięć. No ale zabieram ją, ponieważ ciekawi mnie właśnie jej rozpad, jej zniszczenie. Przetarła się najpierw na złożeniach. Pęknięcia i załamania ułożyły się w nową siatkę, znacznie wyraźniejszą niż ta kartograficzna, którą naniesiono za pomocą delikatnych błękitnych linii. Miasta i wsie powoli przestają istnieć, zużywają się w miarę składania i rozkładania, w miarę upychania w zakamarkach auta albo plecaka. Przepadają Michalovce, przepada Stropkov, dziurawa nicość sięga na przedmieścia Užhorodu. Niedługo zniknie Humenne, przetrze się Vranov nad Toplą i zetleje Cigánd nad Cisą.

Właściwie dopiero parę lat temu zacząłem przyglądać się mapom tak uważnie. Wcześniej traktowałem je, powiedzmy, jak ozdoby albo anachroniczne symboliczne wizerunki, które trwają w epoce konkrety i bezpośrednio kawa na ławę relacji z najdalszych krain. Wszystko zaczęło się od wojny na Bałkanach. U nas wszystko zaczyna się od wojny albo na wojnie kończy, więc nie ma w tym żadnej ekstrawagancji. Po prostu chciałem wiedzieć, w co celuje artyleria i co oglądają piloci samolotów. Na schematycznych namiastkach map w gazetach wszystko wyglądało zbyt elegancko i zbyt sterylnie: nazwa miejscowości, a obok stylizowany rozbłysk eksplozji. Ani śladu rzek, żadnej rzeźby terenu, żadnej topografii, żadnych śladów natury ani cywilizacji, nic, tylko naga nazwa i wybuch. Musiałem odszukać Wojwodinę, bo ona była najbliższej. Wojna zawsze podnieca chłopców, nawet gdy ich przeraża. Czerwone ognie wzdłuż Dunaju — Belgrad, Batajnica, Nowy Sad, Vukovar, Sombor — dwadzieścia kilometrów od węgierskiej granicy i jakieś czterysta pięćdziesiąt od mojego domu. Tylko prawdziwa mapa może sprawić, że zaczniemy nasłuchiwać dalekich odgłosów. Ani telewizja, ani gazeta nie są w stanie odwzorować czegoś tak konkretnego jak odległość.

Może dlatego zniszczenie mojej słowackiej mapy tak łatwo przywiodło mi na myśl zniszczenie w ogóle. Czerwone płomyki wzdłuż Dunaju zaczynają trawić papier, ogień wychodzi z Wojwodiny, wychodzi z Banatu i wtacza się na Nizinę Węgierską, zagarnia Siedmiogród, by w końcu przelać się przez krawędź Karpat.

To wszystko zniknie, przepali się jak żarówka i zostanie tylko kulista próżnia, którą wypełnią jakieś nowe kształty, ale nie jestem ich zupełnie ciekaw, ponieważ będą to coraz bardziej skundlone wersje codzienności udającej święto i nędzy przebranej za bogactwo, festywniarski syf, śmieciarska multiplikacja, plastik, który psuje się natychmiast, lecz jako odpad i wysypisko trwa niemal wiecznie, dopóki nie pochłonie go ogień, a inne żywoły są wobec niego bezradne. Takie myśli miałem, gdy jechaliśmy przez Leordineę, Vişeu de Jos, Vişeu de Sus w stronę przełęczy Prislop. Na szosie nie było prawie żadnych aut, lecz ludzie wylegali setkami. Stali, siedzieli, spacerowali, ubrani odświętnie i dostojnie. Wychodzili ze swoich drewnianych, pokrytych gontową łuską domów, łączyli się, jak pojedyncze krople łączą się w strumyki, i w końcu rozlewali szeroką falą na poboczach drogi, na samym asfalcie, na dnie doliny. Białe koszule, ciemne suknie i marynarki, kapelusze i chustki. Przez uchylone okna wpadał zapach naftaliny, święta i tanich perfum. W Vişeu de Sus było tak gęsto, że niemal stanęliśmy w miejscu, a tłum przesuwał się z obu stron. Staliśmy w miejscu, ale podróż trwała. Odświętna ciżba wchłaniała nas coraz głębiej i to było jak wyprawa pod prąd czasu. Nikt nic nie sprzedawał ani nie kupował. W każdym razie nie widzieliśmy. W oddali wznosił się bury masyw Pietrosula. Na szczycie leżał śnieg. Był trzeci dzień prawosławnej Wielkanocy i święto oznaczało łagodny bezwład materii. Ludzkie ciała poddawały się grawitacji, jakby chciały powrócić do pierwotnego stanu, gdy duch nie był jeszcze uwięziony, nie szamotał się,